

Mk 5, 1-20

Historia, którą przekazuje tu Ewangelista, jest dość szczegółowa. Jezus przybywa na ziemię pogańskiego Dekapolu. Swej działalności nie ogranicza zatem do terenów zamieszkałych przez Żydów. W kraju Gerazeńczyków dochodzi do spotkania z opętanym, o którym Ewangelista mówi, że miał w sobie ducha nieczystego, i dość dokładnie relacjonuje jego słowa. Opowieść pozwala zrekonstruować sytuację wewnętrzną opętanego, który mieszka w grobowcach — tam więc gdzie panuje śmierć. Jak musiała wyglądać dusza tego człowieka, jeśli mógł on mieszkać już tylko w grobowcach? Zdarzają się ludzie, którzy swe mieszkanie malują na czarno. Wszystko w nich jest ciemne i posępne. W ich duszy panuje ciemność. Stan ten dobrze znają osoby ze skłonnością do depresji, które często mieszkają w wewnętrznym grobowcu. Grobowiec jest symbolem zmurszałości. U wielu ludzi wszystko wydziela woń śmierci i rozkładu. Nie ma w nich kwitnącego życia. Przepęniają ich autodestrukcyjne siły, które dążą do zagłady.

Kto mieszka w grobowcu, ten się odsunął od ludzi. Ale opętany stara się do nich powrócić. I przeraża ich bądź konsternuje. Czytamy bowiem, że ludzie nie potrafili go ujarzmić. Nie byli w stanie go nawet spętać, gdyż miał ogromną siłę: zrywał pęta, a łańcuchy kruszył. Nikt nie umiał adekwatnie zareagować na jego zachowanie. Może pętano go, chcąc mu narzucić własne normy. Ale nie dał się wpisać w istniejący porządek. Szedł własną drogą. Może chciano go unieruchomić, aby nie był już ciężarem dla innych, aby nie psuł opinii własnej rodzinie. Demonizacja łączyłaby się zatem ze splotem relacji środowiskowych. Środowisko miałoby w niej swój znaczny udział. Nie mogąc się uporać z niepokojącym zachowaniem opętanego, starało się nałożyć mu pęta.

Ewangelista podaje jeszcze jedną informację: że opętany bez przerwy krzychał dniem i nocą. To paradoksalne: kto błąka się pośród grobowców, pragnie być sam — nie chce mieć nic wspólnego z ludźmi; natomiast ten, kto krzyczy, szuka kontaktu.

Krzyczy tak długo, aż go ludzie usłyszą i wysłuchają — aż go zauważą. Opętany prezentuje zatem ambiwalentną postawę. Odsunął się od ludzi, a jednak pragnie relacji z nimi. Ukrywa się, a jednak wygląda, czy go ktoś nie odwiedzi. Pośród grobowców szuka schronienia przed ludźmi, którzy zadają mu rany, a jednocześnie sam siebie okłada kamieniami. Swą agresję kieruje na samego siebie. Wielu ludzi zadaje sobie rany, bo już tylko w ten sposób mogą poczuć, że żyją.

Opętany mieszka w grobowcach. Najchętniej by umarł. A jednocześnie pragnie czuć, że żyje. Dlatego już tylko dzięki ranom, które sam sobie zadaje, może w ogóle poczuć, że jest żywą istotą.

Ambiwalencję jego postawy jeszcze wyraźniej ukazuje następna scena. Widząc Jezusa, opętany podbiega i oddaje Mu pokłon. Zdaje się uznawać Jego moc. I czuje, że Jezus go do siebie przyciąga. Może ma nadzieję, że dzięki Niemu powróci do zdrowia. Zarazem jednak krzyczy: „Czego chcesz ode mnie, Jezusie, Synu Boga Najwyższego? Zaklinam Cię na Boga, nie dręcz mnie!”. Chciałby odzyskać zdrowie, a jednocześnie broni się przed tym. Ambiwalencja to typowe zjawisko u wielu chorych, którzy są rozdarci między pragnieniem powrotu do zdrowia i oporem, z jakim poddają się terapii. Jako chorzy wiedzą bowiem, na co mogą liczyć. Gdy powracają do zdrowia, nie wiedzą, co ich czeka. A przede wszystkim nie mogą się już uchylać od odpowiedzialności za swe życie. Muszą je wziąć we własne ręce.

Jezus nie stawia znaku równości między osobą chorego i duchem nieczystym, który go opętał. Przenikając chaotyczne zachowanie opętańca, dostrzega wnętrze, które pozostało zdrowe. I wierzy w jego siłę. To zdrowe wnętrze chce oddzielić od patologicznych wzorców życia, które rządzą zachowaniem opętanego — od ducha nieczystego, który mąci jego myśl i od jego natręctw. Pyta: „Jak ci na imię?”. Imię nie jest zewnętrznym dodatkiem, lecz wyraża istotę człowieka. Pytanie Jezusa zmusza chorego do konfrontacji z samym sobą. Opętany ma sam powiedzieć, kim naprawdę jest — co stanowi jego prawdziwą istotę. Jezus nie komentuje jego niezwykłego zachowania. Traktuje go poważnie. Ale też zmusza, by odwrócił wzrok od

symptomów i spojrzął na swą prawdziwą istotę. W pierwszej chwili odpowiedź zdaje się wymijająca: „Na imię mi «Legion», bo nas jest wielu”. Opętany posłużył się terminem ze słownika rzymskiej wojskowości. Legion liczył sześć tysięcy żołnierzy. Nietrudno zrozumieć, co chory chciał wyrazić tym słowem: sześć tysięcy par wojskowych buciorów tratowało jego duszę. Teraz już sam nie wie, kim właściwie jest: jego istota znikła pod buciorami ludzi, którzy go odrzucali i ranili. Teraz czuje się tak, jakby był całym legionem. Mieszka w nim cały legion chorób psychicznych. Jego osobowość uległa rozpadowi. Chory sam się nie orientuje, kim właściwie jest — nie ogarnia całości swego osobowego bytu. Ale spotkanie z Jezusem pozwala mu odkryć swą prawdziwą istotę. Spotkanie z kimś, kto jest mocno osadzony w samym sobie, w swym wewnętrznym centrum, często pomaga nam dotrzeć do naszego własnego centrum. Jezus, który trwa w jedności z samym sobą i z Bogiem, dla nas, rozdartych wewnątrz, jest niczym magnes, który ponownie scala rozpadającą się duszę.

Epizod z opętanym przybiera nieoczekiwany obrót. Demony błagają Jezusa, by ich nie wyganiał z okolicy, lecz pozwolił im wejść w stado świń. Jezus zgadza się — po czym całe stado rzuca się do wody i tonie. Co oznacza ta scena? Czyżby Jezus nie znał litości dla świń? Według Żydów, świnia jest zwierzęciem nieczystym. Uczniowie Jezusa zapewne cieszyli się, że zginęło tyle nieczystych zwierząt. Cała scena, jeśli założyć, że ma symboliczny sens, mogłaby oznaczać, iż wszelkie nieczystości z wnętrza opętanego przeszły na świnię — przejawyły się na zewnątrz, dzięki czemu przestały tyranizować jego duszę. I wpadły do wody. Woda symbolizuje nieświadomość. Gdy nieczystości przejawią się na zewnątrz — poprzez słowo czy obraz — tracą władzę nad nieświadomością. Nie mogą się w niej już pieklić, nie mogą już mącić i determinować naszego świadomego myślenia i działania.

Stado świń stanowiło cały dobytek pasterzy, dumnych ze swego bogactwa, którzy jednak, ciągle go doglądając, być może zapomnieli o człowieku — i go zdemonizowali. Zdarza się czasem, że chory syn może powrócić do zdrowia dopiero wtedy, gdy ojciec wyzbędzie się majątku, a przynajmniej gdy odwróci się od

wszystkiego, co zewnętrzne, i na powrót zwróci ku synowi. Rodzice, dla których ważne jest tylko „mieć”, często nie dostrzegają, że sami stali się przyczyną choroby swego dziecka. Potem chodzą po lekarzach, by mu pomóc. Wydają na nich masę pieniędzy. Ale naprawdę wyleczyć mogą je tylko tymi pieniędzmi, wobec których potrafią się wewnątrznie zdystansować, których potrafią się wyzbyc.

Właściciele stada wszystko dokładnie widzieli. Nie pojmują, co się stało. Widzą tylko, że diabli wzięli cały ich majątek. Rzecz jasna, nie są tym uradowani. Dlatego proszą Jezusa, by opuścił ich granice. Nie potrzebują takiego uzdrowiciela, który zakłóca ich stosunki, ich ustalone relacje — co wprowadza zamęt w ich życie. Natomiast ozdrowieniec czuje siłę, którą emanuje Jezus. Chce z Nim zostać. Gdy Jezus razem z uczniami wsiada do łodzi, chce z Nim odpłynąć. Doświadczył dobrodziejstw uzdrawiającej i miłującej bliskości Jezusa. Potrzebuje jej, by utrwalić odzyskaną tożsamość. Ale Jezus odmawia. Każe mu wrócić do rodzinnego domu i opowiedzieć, co Pan uczynił dla niego i jak się nad nim ulitował. Aby w pełni ozdrowieć, opętany musi się pojednać z tymi, którzy go ranili. Jego tożsamość musi się stać rzeczywistością właśnie pośród tych, między którymi ją utracił. Jezus posyła go jako misjonarza do mieszkańców pogańskiego Dekapolu. Ludzie słuchają w zdumieniu. Dawny opętaniec, który przetrzymał tak niebezpieczny kryzys, potrafi mówić o Bogu i Jezusie inaczej, niż dotychczas słyszeli. Chwyta słuchaczy za serce, które otwiera się na tajemnicę Boga: „a wszyscy się dziwili”.